Dodatek „WIECZORÓW RODZINNYCH".

Szkoła Krzemieniecka.

OBRAZKI i WSPOMNIENIA.

Zeszyt listopadowy.

WARSZAWA.
Druk Szyllera
Nowy-Świat 26.

1906.

— Tak jest odpowiedział chłopiec— spuszczając oczy.

— Jakież do tego miałeś powody?

Gdy zapytany milczał, dyrektor rzekł:

— To ja waćpanu powiem, nie miałeś się z czego utrzymać.

Antoś odpowiedział łzami jedynie. Wtedy dyrektor wziął płaczącego za rękę, i mówił głosem przepełnionym wzruszeniem:

— Nie wstydź się dobry młodzieńcze i jak ojcu wyznaj całe twoje położenie.

Antoś, ośmielony okazaną mu dobrocią, jął opowiadać o wszystkich swoich kłopotach, opowiadanie jednak przerywał kilkakrotnie, bo łzy tamowały mu mowę.

Dyrektor słuchał uważnie, na poważnej jego twarzy malowało się współczucie.

— Wierzę waćpanu — powiedział, gdy Antoś skończył — mam ci jednak za złe, żeś do mnie zaufania nie miał i oddawna mi położenia swego nie powierzył; ale nie znałeś mnie, a młodzi tak trudno do ufności w przełożonych nawykają! Jako człowiek kochający bliźniego, starać się będę nieść ci pomoc

i ulgę, jako dyrektor zalecam zerwać umowę i pozostać w gimnazyum.

— Zerwać umowę? — zawołał milczący dotąd Antoś — czyż mogę?

— Możesz zerwać umowę, zawartą bez wiedzy władzy szkolnej — odpowiedział dyrektor — to posłuży ci za wymówkę. Powiedz, że do końca roku szkolnego władza szkolna zarządzać ci sobą nie pozwala. Pan Radzimiński, człowiek rozumny, uzna słnszność twego zerwania i od słowa danego ciebie zwolni.

— O dalszem twojem utrzymaniu pomyślimy — mówił dyrektor po chwili. — Profesorowie Malawski i Jurkowski ofiarują ci mieszkanie i utrzymanie, za co waćpan w chwilach wolnych od nauki zajmiesz się ich uczniami. W kasie gimnazyalnej jest suma dla ubogich uczniów przeznaczona, z niej ile waćpanu potrzeba zaasygnuję. Teraz idź już, żegnam cię, myślę, że nadal będziesz otwartym z władzą szkolną i więcej w niej niż dotąd zaufania położysz.

Antoś ucałował rękę czcigodnego dyrektora, bo słów nie mógł znaleźć na wyrażenie swej wdzięczności. Gdy wyszedł na ulicę, spotkał się z kolegami,

którzy go obstąpili i pytaniami zarzucili.

— No cóż, prefekt i dyrektor natarli ci uszów, za samowolne rządzenie sobą? — pytał jeden.

— Ależ gdzie! — zaprzeczył Antoś drżącym od wzruszenia głosem, a łzy błyszczały mu w oczach. — Ojciec nie mógłby ze mną obejść się inaczej— mówił po chwili.—Czyż mogłem spodziewać się, żeby o tak mało znaczącego ucznia jak ja, troszczono się tak po ojcowsku.—Po tych słowach opowiadać jął szczegółowo co powiedzieli mu obaj zwierzchnicy szkoły.

Uczniowie ze wzruszeniem słuchali opowiadania kolegi, jeden zaś z nich, widząc, że wszyscy na wysoki ton nastrojeni, zapragnął weselszej nuty, więc rzekł:

— No wszystko dobrze się skończyło, kiedy Antoś z nami zostaje. ale skoro mu władcy szkolni uszów nie natarli. więc czego nie zrobili oni, zrobimy my!

— No ależ za co mieli mu uszy nacierać? Czyż za to, że pracą chciał od siebie odsunąć niedostatek?

— Zasłużył na naganę za samowolne rozrządzanie własną osobą; — po-

wiedział któryś. — Widocznie przełożeni tego za winę nie uznali, skoro obeszli się z Antosiem tak łagodnie.

— Nie mogli tego za winę nie uznać—zawyrokował inny—tylko wzruszyli się jego położeniem i przebaczyli.

— Że opuszczenie samowolne szkoły winą jest, świadczy odezwa pana starosty.

— Tego nie wiedziałem! odezwy nie czytałem — przemówił wreszcie Antoś, któremu dotąd koledzy do słowa dojść nie pozwolili.

— Nie wiedziałem! nie czytałem! to nie jest żadna wymówka — zawołał jeden z kolegów. — Ciebie teka i ołówek do szkoły wprowadziły, więc myślisz, że bezkarnie sobą rozporządzać możesz — żartował inny.

— Podziękuj Bogu, że w tej chwili niema w Krzemieńcu pana starosty, bo czego nie zrobił prefekt i dyrektor, byłby zrobił on, bo przekraczać ustawy surowo pan starosta zabrania.

Chłopcy, słuchając tych pogróżek, zaśmiali się; wszystkim znaną była łagodność pana starosty, to też jeden z chłopców powiedział:

— Już jabym chciał widzieć pana starostę, nacierającego komu uszy!

Jeżeli prefekt i dyrektor obeszli się z Antkiem, tak jak ojciec rodzony, to zaręczam, że pan starosta byłby obszedł się z nim jak matka.

— No, ale skoro Antoś ustaw i odezwy do młodzieży pana starosty nie czytał, to chodźmy do domu, ja mam odezwę, więc mu ją przeczytam, niech na drugi raz ma się na ostrożności i samowoli się wystrzega! — rzekł jeden z kolegów Antosia, przybierając groźną postawę.

Nim chłopcy doszli do swojej stancyi, spotkali Proskurę, który właśnie ze świąt Wielkanocnych powrócił. Wszyscy wiedzieli, że Proskura żyje w przyjaźni z Antosiem, więc opowiedzieli mu zaraz całą jego przygodę w sposób żartobliwy: — Pismo święte poucza nas — mówił jeden z chłopców — że pasterz porzucił 99 owieczek dla jednej zaginionej, Antoś jest tą owieczką, która nim zginęła, doznawała troskliwej opieki pasterzy.

Proskura słuchał w milczeniu opowiadania kolegów, a gdy skończyli, rzekł:

— Tyle zachodu! a niechby sobie był pojechał do pana szambelana!

Obojętne słowa przyjaciela zrobiły przykrość Antosiowi, nie mógł jednak

nad nimi rozmyślać, bo właśnie weszli do stancyi kolegi, który z kuferka wydobył odezwę pana starosty i czytał z niej niektóre wyjątki:

„Szkoły otwierają się corocznie 15 września, a kończą się 20-go lipca. Każdy uczeń przyjechać winien na czas otwarcia szkoły. Jeżeli się spóźni do 20-go września, przyjętym nie zostanie; choroba tylko własna lub jednego z rodziców zaświadczona, od tej surowości uwalnia.“

— Ten ustęp nie do ciebie się odnosi—rzekł, przerywając czytanie — ale otóż ten właśnie przeciw któremu wykroczyłeś, słuchaj:

„Ktokolwiek bez gwałtownej przyczyny, o której stanowi władza edukacyjna, wyjedzie przed egzaminami, zostanie w tejże samej klasie lub kursie. Kto nie dokończy kursów, nie tylko świadectwa nie dostanie, ale zarząd edukacyjny uwiadomi inne władze, aby zapowiedziana srogość przez prawo skutek swój wzięła. Kraj bowiem potrzebuje ludzi moralnych i umiejętnych, a przerwana i niedokończona nauka, czyni młodzieńca połuczonym, tak że często brak wszelkiej nauki obok uczciwo-

ści jest pożądańsza, niż natłoczone i nie uporządkowane wiadomości."

— Słyszysz, jakim to ty jesteś winowajcą! — mówił uczeń, przerywając na chwilę czytanie, ale posłuchajno jeszcze chwileczkę co to tu dalej pan starosta napisał, a przekonasz się, że i on potrafi być surowym:

„Za każde przewinienie spotka winowajcę niezwłocznie odpowiednia kara. Zalecam najmocniej, aby uczniom darowaną kara nie była. Uronię może łzę nad nieszczęśliwym, który zasłużył na całą surowość kary, lecz musi to nastąpić, aby przykład mógł wymownie przemówić do bojaźni, kiedy szlachetne uczucia nie zawsze tworzą ciągłe i dobre postępowanie. Każdy uczeń kursów niech wspomni, że wychodząc z klas, zaczyna nową epokę życia swojego; że należąc pierwej do społeczności familijnej, zbliża się do tego momentu, kiedy narodowa społeczność przyjmuje go aby umiał sumiennie rozkazywać, lub dokładnie wykonywać poruczone obowiązki.

„Pochlebiam sobie, że mam jakiekolwiek prawo do waszych serc. Nie chciałbym was smucić. Pomagam wam być wesołymi, a jeżeli powinność nasza ka-

że wyrządzić szczególnym uczniom przykrość dla ich dobra, stanie się ona zarodem wesołości w dniach dojrzałego życia, kiedy już w surowej cnocie znajdziecie pomyślność, a wtenczas prawdziwe moralne nieszczęścia nazwiecie skutkiem namiętności, którym rozum nie rozkazuje.“

Dalsze czytanie przerwały rozmowy wesołych kolegów. Cieszyli się serdecznie, że przykre interesa Antosia wzięły tak pomyślny obrót.

— No, kiedy wszystkie twoje strapienia obróciły się na dobre, więc i my się obróćmy i spać chodźmy, aby jutro ze świeżym umysłem pójść do szkoły.

Po tych słowach chłopcy powiedzieli sobie dobranoc i rozeszli się po swoich stancyach. Antoś przyszedłszy do swojej izdebki, ukląkł i w krótkiej modlitwie podziękował Bogu za pomyślne zakończenie swego niedostatku, poczem spać się położył i natychmiast zasnął po różnorodnych wrażeniach przeżytych w ciągu dnia. O świcie obudziwszy się, posłyszał jakby tykotanie zegarka. Ależ to nie zegarek, pomyślał, wszakże zegarek zastawiony, to musi kołatek ścianę toczyć.

Jednak tykotanie było tak wyraźne,

i to nie w ścianie, lecz pod poduszką. Co to być może? — Antoś podnosi poduszkę i widzi swój własny zegarek! Na ten widok łzy radości puściły się z ócz biednego chłopca, odzyskany bowiem zegarek był drogą dla niego pamiątką.

— Kto jednak zegarek wykupił? — przemknęło po głowie uradowanego Antosia. — Niezawodnie Proskura! nikt inny, on bowiem jest najzamożniejszy z moich kolegów; właśnie ze świąt wrócił, widocznie pieniądze od rodziców dostał i zegarek wykupił. A udawał wczoraj dla mnie obojętność, umyślnie, żebym się nie domyślił poczciwego czynu.

Delikatność uczynnego kolegi wzruszyła naszego biedaka do głębi, wzruszenie spotęgowało się, gdy przypomniał sobie buty, przyniesione przez służącego Proskury, teraz dopiero zrozumiał odegraną z nim komedyę. Nim dzwonek szkolnego kościoła wezwał uczniów na ranne nabożeństwo, Antoś pobiegł do poczciwego kolegi i obaj chłopcy rozrzewnieni padli sobie w objęcia.

IV. Rozrywki uczni. Zakończenie roku szkolnego.

W jednej z odezw pisanych przez Tadeusza Czackiego do młodzieży, czytamy:

„Nie chciałem i nie chcę was smucić, pomagam wam być wesołymi“. Że słowa te były prawdziwe przekonam was zaraz: Spojrzyjcie! jak wesoło, jak swobodnie bawi się młodzież w Krzemieńcu! gdy odbędzie lekcye szkolne przygotuje się do lekcyi na dzień następny. Lekcye w szkole nie długo trwały, bo dwie godziny rano, dwie po obiedzie. Kto miał ochotę nabawić się dowoli, robił szybko i starannie wypracowania piśmienne i wyuczył się zadanych lekcyi, potem mógł już wesoło i swobodnie bawić się z kolegami, a nawet dostąpić tego zaszczytu, że mógł grać w piłkę z samym panem starostą. Je-

żeli bowiem zjawił się na galeryi, w czasie, gdy chłopcy, podzieleni na oddzielne gromadki, w piłkę grali, wtedy każda gromadka zapraszała pana starostę do współudziału w zabawie, wołając:

— Z nami, panie starosto, z nami! — przy tych słowach rozbawieni chłopcy obstępowali go kołem, całowali po rękach, chwytali za poły oliwkowego surduta, zapraszając w swoją stronę.

— Ze wszystkimi naraz grać nie mogę, jeno po kolei — odpowiadał dobrotliwie pan starosta, a następnie stawał śród gromadki grających, brał piłkę i w ściankę lub kaszę przewodził.

Pan starosta jakkolwiek dla przyjemności uczniów w piłkę grywał, ale dobrym graczem nie był; nie potrafił bowiem z powodu krótkiego wzroku piłki chwycić, lub trafić w wyciągniętą dłoń, czyli po studencku, w łapę uderzyć. Grając ze studentami nie pozwalał siebie oszczędzać, lecz gdy do celu nie trafił, lub piłki rzuconej nie pochwycił, wyciągał dłoń, aby odebrać karę za niezręczność. Nie jeden malec, ujrzawszy wyciągniętą dłoń pana starosty, rękę swą, uzbrojoną w piłkę, opuszczał, nie śmiejąc nią rzucić na tę ojcowską rękę, która przygarnęła do

siebie młodzież polską i darzyła ją nauką i cnotą.

Pan starosta, umęczywszy się grą w piłkę, wymykał się niepostrzeżenie z pośród wesołej gromadki i szedł do pracy lub przypatrywał się bawiącej się młodzieży.

Jedni uczyli się konnej jazdy, inni fechtunku, pływania i tańców. Wszędzie pan starosta zabiegał i przestrzegał umiarkowania i porządku.

Najstarsi uczniowie lubili zabawiać się w rzucanie drobnych przedmiotów w górę. Celował w tem najzręczniejszy z uczniów, niejaki Studziński. Wyrzucał w górę miedziany pieniądz, który za każdym razem ocierał się z głośnym brzękiem o najwyższy szczyt gimnazyalnego kościoła.

Przypatrzyliśmy się uczniom szkoły Krzemienieckiej śród rozmaitych okoliczności, popatrzmy jeszcze na nich podczas szkolnej uroczystości, urządzonej na zakończenie roku szkolnego. Była to chwila bardzo uroczysta, na którą sposobili się nie tylko sami uczniowie, lecz całe miasteczko. Na egzamin bowiem zjeżdżały rodziny młodzieży, uczęszczającej do szkoły. Na ich przyjęcie gotowali się właściciele do-

mów zajezdnych w Krzemieńcu, bielono, myto, sprzątano gościnne pokoje, sklepy zaś zaopatrywały się w najwyszukańsze towary, nęcąc do siebie siostry i kuzynki uczniów Krzemienieckich. W czasie egzaminu ruch w Krzemieńcu bywał jak po wielkich miastach.

Uczniowie powtar. ali lekcye i oglądali swoje mundury. Jak żołnierze na paradę szykowali się chłopcy na czas egzaminu. Mundur powinien był wyglądać jak nowy, a mundury w szkole Krzemienieckiej zaprowadził Tadeusz Czacki dlatego właśnie, aby nim zastąpić zbytkowne stroje w jakie zaopatrzyli zamożni rodzice dzieci swoje. Uczniowie jednakowo poubierani, zapomnieć musieli o różnicach majątkowych i towarzyskich. Mundur zrównał ich między sobą, a wyróżniała jedynie praca, pilność i obyczajność.

Tadeusz Czacki często z naciskiem powtarzał: „Proszę rodziców i opiekunów, aby na niepotrzebne stroje, wymyślną bieliznę lub inne ubrania, którym moda codzień daje inny kształt i to, co teraz poleca w krótkim czasie znowu wyśmiewa, nie dawali pieniędzy. Mundur gimnazyalny z sukna krajowe-

go w cenie średniej jest zaszczytem; wolność onego noszenia jest chwałą. Mundur koniecznie na wszystkich uroczystościach powinien być noszony od tych, co go mieć mogą. Ubożsi niech się starają mieć surduty mundurowe. Kto do mnie ma interes, uczyni mi rzecz przyjemną, gdy w mundurze przyjdzie. Czapki haftowane i t. p. oznaki zbytku są śmiesznością. Uczeń nie powinien okazywać miękkości, ta nie jest godna młodzieńca nadziei. Kogo postrzegę, że zbytkownie się będzie ubierał, drogie suknie nosił, tego nie będę uważał za dziecko mnie miłe; bo uważam go, jako niechcące prostotą szlachetną szukać w mojem sercu szacunku.

A że każdy uczeń szkoły Krzemienieckiej chciał być miłym panu staroście, każdy pragnął u niego zasłużyć na miłość i szacunek, każdy zatem starał się mieć skromny, a przecie gustowny mundnrek. Był on z sukna granatowego z niebieskim kołnierzem i z pąsowemi wypustkami.

Ubodzy, a pilni nie mieli trudności w zaopatrzenie się w mundur, bo pan starosta z pomocą dyrektora i prefekta. starał się ubogiej, a pilnej młodzieży przyjść z pomocą.

Urządzono dla ubogich, a pilnych uczniów konwikt bezpłatny, w którym znajdowało pomieszczenie często więcej niż stu uczniów. Starsi, a zdolni i pilni mogli zapracować na swoje utrzymanie, bo oddawani byli jako dozorcy do dzieci zamożnych, a za naukę i nadzór mieli utrzymanie i płacę bardzo dostateczną do zaopatrzenia się w mundur.

Egzamina, a raczej popisy odbywały się w Krzemieńcu w kościele pojezuickim, zwanym gimnazyalnym.

W gmachu szkolnym, w pierwszych latach istnienia szkoły, nie było tak wielkiej sali, w którejby pomieścić się mogła licznie zjeżdżająca się publiczność. Później, gdy Tadeuszowi Czackiemu udało się od rządu dostać dochody ze starostwa Krzemienieckiego na potrzeby szkoły, gmachy szkoły powiększył, obszerną bibliotekę i gabinety do nauk przyrodniczych urządził, wtedy uroczystości szkolne odbywały się w obszernej sali bibliotecznej. Popis trwał zwykle dni kilka, starsi z wielkiem zajęciem przysłuchiwali się roztropnym odpowiedziom uczniów, z wielkiem zajęciem przypatrywali się doświadczeniom z dziedziny fizyki i che-

mii, które uczniowie zręcznie wykonywali. Po kilkudniowym popisie następował dzień rozdawania nagród.

W środku kościoła, po prawej od wchodu stronie, ustawiono siedzenie dla biskupa, dalej krzesła dwoma rzędami, które zasiedli poważni obywatele, ojcowie i matki, poza nimi porządkiem uczniowie klas i kursów, dalej mnóstwo ciekawych widzów. Uczniowie, klasami rozstawieni, zajęli swe miejsca, na czele każdej klasy szereg celujących należnej nagrody oczekuje. Kursa osobno stoją, wszyscy w mundurach, wszyscy śmiało i wesoło spoglądają, ale ułożeniem skromni i przyzwoici.

W szkole Krzemienieckiej nie tylko przyozdabiają umysły, tu serca kształcą i wzniosłe uczucia natchnąć potrafią; bo tu naczelnikiem jest przykład, jest wzór, za którym dążą wszyscy, którzy prawego obywatela imieniem szczycić się pragną.

Naraz od drzwi wchodowych dał się słyszeć szelest, oczy wszystkich w tę stronę się zwróciły, wszystkich usta szepnęły: Idą! Jakoż weszli nauczyciele parami, porządkiem starszeństwa, ci co szli naostatku nieśli: jeden dyplom cesarski, zawierający pozwolenie założenia

szkoły w Krzemieńcu, drugi na tacy medale; za nimi dyrektor i prefekt, dalej członkowie komisyi edukacyjnej, na samym końcu szedł Czacki, za nim sekretarz gimnazyalny ze stosem świadectw i listów pochwalnych. Rozstąpili się wszyscy, grono szanownych mężów zasiadło swoje krzesła. Sekretarz zajął miejsce za krzesłem Czackiego, ksiądz biskup zaintonował *Veni Creator*, po odśpiewaniu którego, Czacki zagaił posiedzenie piękną a krótką przemową, jeden z profesorów miał pouczający odczyt, wreszcie nastąpiło rozdanie nagród od pierwszej klasy aż do trzeciego kursu, każdemu, oddając list pochwalny, Czacki coś przyjemnego i stosownego powiedział. Na ostatku rozdawano medale, te przypinali najzasłużeńszym uczniom najwyżsi dostojnicy, obecni na uroczystości, lub też najbliżsi krewni celującego ucznia.

Po tych uroczystościach wezwał Czacki tych uczniów, którzy Krzemieniec już opuścić mieli i żądał aby wobec Boga, wszystkich szkolnych władz, pozostającej nadal w szkole młodzieży i licznie zgromadzonego obwatelstwa przyrzekli, iż się nigdy złymi postępka-

mi nie splamią, że nabytych nauk nie sponiewierają, że myśl o dobro narodu i społeczeństwa całe życie przewodzić im będzie, że w pracy i w dalszem kształceniu się nie ustaną i że wreszcie pamięć tej szkoły i braterską miłość na zawsze w sercu zachowają.

Każdy, opuszczający szkołę Krzemieniecką uczeń, przyrzeczenie składał i podpisywał się w osobnej, na ten cel przeznaczonej księdze. Czacki następnie każdego do piersi przycisnął i ucałował, dając w ten sposób nowemu do społeczeństwa przybyszowi pierwsze powitanie, a zarazem ojcowskie na dalsze życia koleje błogosławieństwo.

Zakończył poważną, rzewną uroczystość ksiądz biskup hymnem św. Augustyna i powszechnem pasterskiem błogosławieństwem.

Każdy potem udawał się w swoją stronę na wakacye. Pierwszym staraniem uczniów medalowych było postarać się o haft na kołnierzu mundurka, był to liść dębowy, połączony z kłosem pszenicy. Potem można było poznać ucznia nagrodzonego medalem. Nic też dziwnego, że medalowi uczniowie dbali o ową oznakę. Medal bowiem był naj-

zaszczytniejszą nagrodą, którą zdobywało się jedynie zasługą własną, bo pracą i rzetelnymi postępami w naukach.

Do tych medalowych uczniów należał Piotruś, syn stolarza.

V. Sądy uczniów. Wieczorki w kasynie.

We dwa tygodnie po rozpoczęciu roku szkolnego w Krzemieńcu, następowała ważna chwila dla uczniów kursów, t. j. wybory. Jakie wybory? — zapytacie. Wybory sędziów i prezesa z pomiędzy uczniów, do sprawowania sądów i wydawania wyroków na winnych.

O tem, że grono profesorów ma prawo sądzić i karać uczniów, wiedzieliście; żeby takie prawa mieli uczniowie, to was zadziwia i zaciekawia.

Chcąc bliżej poznać „sądy uczniów", zaprowadzone przez Tadeusza Czackiego w Krzemieńcu, chodźmy na wybory. Spieszy oto na nie młodzież ze wszystkich kursów, a że sam dyrektor niema czasu przewodniczyć wyborom, zastąpi go szanowny prefekt Jarkowski. Zajął oto miejsce na podwyższeniu i ma zamiar przemówić do zebranej młodzieży.

Nastała zatem cisza, a prefekt w te odezwał się słowa:

„Władza edukacyjna zaszczyca waćpanów swojem zaufaniem, skoro powołuje was do sądzenia waszych wykroczeń. Niechże waćpanowie wyborów dokonają rozważnie, niech ten wybór okaże, że godni jesteście zaufania, że dojrzeliście do sprawiedliwego osądzenia spraw własnych, że daną wam władzę potraficie zużytkować ku doskonaleniu się własnemu. Celem bowiem wykształcenia i wychowania, jest dążność udoskonalenia się, i was władza edukacyjna wzywa do współudziału w tej pięknej pracy. Ci z pomiędzy was, którym wybór kolegów powierzy trudny lecz zaszczytny urząd sędziów, niech pamiętają przedewszystkiem o tem, że największą zasługą ich będzie, doprowadzenie do zgody zwaśnionych. Skończyłem, w imię Boże zacznijcie."

Cisza, panująca podczas przemówienia prefekta, przerwana została gwarem naradzających się chłopców. Każdy kurs naradzał się osobno, każdy bowiem miał prawo wybrać z pośród siebie jednego sędziego, wszystkie zaś kursa razem obierały przewodniczącego, t. j. prezesa.

W sali gwarno było, lecz nie krzykliwie, chłopcy zachowywali się poważnie, zrozumieli, że przystępują do sprawy ważnej, wymagającej rozwagi i spokoju. Tu i owdzie słychać było wymieniane nazwiska, na jedne godzono się, na drugie nie.

— Tego wybrać nie można — mówiono.

— Pamiętajcie! że wybory zatwierdza dyrektor, wstyd byłby dla nas, gdyby naszego wyboru nie zatwierdził, gdyby zarządził powtórne wybory i sam kandydata naznaczył.

W ten sposób rozważniejsi upominali tych, którzy zbyt pospiesznie, bez namysłu chcieli dokonać wyboru.

Trudniejsze jeszcze było zadanie sędziów niż wyborców! Młode głowy dobrze się nieraz namozoliły, gdy im przyszło wyrok wydać na winowajcę. Namyślano się, naradzano, zasięgano rady profesora prawa. I nie można się dziwić, że tak bardzo ostrożnie przystępowano do wydania wyroku, skazującego kolegę na karę. Pomyślcie jeno! czy to łatwo, np. zabronić koledze prawa noszenia szpady lub pałasza. Uczniowie kursów mieli prawo noszenia tej broni w niedzielę i święta. Jeżeli za-

tem uczeń ukazał się bez szabli, wiedziano już oczywiście, że to za karę. A jaki to wstyd! nie tylko wobec kolegów, lecz wobec młodszych uczniów szkoły, patrzących zazdrosnem okiem na tych, którzy mieli prawo noszenia szabli przy mundurze. A przecież i w miasteczku starszych uczniów znano, i gdy którego ujrzano bez szabli, domyślano się zaraz co to znaczy! A jednak wzbronienie noszenia pałasza, nie było najsroższą karą, jaka czekała winnego. Gdy wina była cięższa, wypisywano imię i nazwisko winnego na osobnej tablicy, okrywano napis czarną krepą i wieszano w klasie. Żałobna oznaka, pokrywająca nazwisko winnego, oznaczała, że winowajca złym czynem okrywał żałobą zakład cały.

Kary tej bano się jak ognia. Młodzi sędziowie jednakże nie tylko dlatego biedzili sobie głowy nim skazali na karę kolegę, że ta kara sprawiała przykrość ukaranemu, dla którego sędziowie mieli uczucie bratnie, zalecane im przez założyciela szkoły, ale i dlatego, że przebieg sprawy, wreszcie wyrok wpisywano do osobnej księgi, którą przedkładano dyrektorowi.

Nim bowiem wykonano wyrok, dy-

rektor sprawę rozpatrywał i wyrok zatwierdzał lub nie, mógł oddać sprawę gronu nauczycielskiemu, które miało prawo wydać ostateczny wyrok. Młodzi sędziowie, chcąc godnie odpowiedzieć położonemu w nich zaufaniu, mieli tę ambicyę, aby wszystkie sprawy przeprowadzić rozważnie i sprawiedliwie, aby dyrektor lub grono profesorów nie potrzebowało wydanego wyroku zmieniać.

— Nowina! wielka nowina! — wołał jeden z uczniów do czekających na lekcyę fechtunku kolegów.

— Jaka nowina? Czy dobra? A mówże — wołano ze wszystkich stron.

— Nowina cudowna! przewyborna! Pan starosta przygotował dla nas wielką przyjemność.

— Ależ, zlituj się, mów prędzej! ja omało ze skóry nie wyskoczę.

— Słuchajcie! będziemy mieli w zimie wieczorki tańcujące! zakładają dla uczniów kasyno!

— Czy być może? Czy mówisz prawdę? Ej, może sobie z nas żartujesz! — posypały się wykrzykniki ze wszystkich stron.

— Czyż mam przysięgać, że mówię prawdę?

— Jakże do tego przyszło, mów dokładniej!

— Czy ja wiem jak przyszło, nie troszcząc się o to, cieszę się, że przyszło!

Władek zaraz indagacyę ciągnie, jak gdyby zasiadał w sądzie uczniów.

— Jeżeliście ciekawi wiedzieć, jak do tego przyszło, spytajcie Karola, on o kasynie coś więcej wie, chociaż nie mówi.

— Skąd wie? Dlaczego nie mówi! — wołano ze wszystkich stron.

— Skąd wie? czyż trudno się domyśleć? Wszakże wiecie, że uczniowie medalowi bywają zapraszani na obiady do pana starosty, otóż Karol, będąc tam na obiedzie, o kasynie słyszał, ale o tem nie mówił, bo sobie pan starosta życzył, żeby do pewnego czasu rzecz była w tajemnicy. No, ale skoro o kasynie już wróble na dachu świstają, to niech nam Karol opowie wszystko szczegółowo.

— Niech opowie! niech opowie! — wołali wszyscy.

— Ależ na Boga, cicho! gdyby nawet opowiadać chciał, czyż go kto usłyszy?

— Prawda! uciszcie się! no, cicho! Karol ma głos — przy tych słowach obstąpiono Karola, a on jął opowiadać, gdy się uciszyło.

— Już ja wam tego mówić nie potrzebuję, że pan starosta niezmordowanym jest w obmyślaniu wszystkiego co służy dla naszego dobra.

— I przyjemności — wtrącił któryś z uczniów.

— Dla naszego dobra — powtórzył z naciskiem Karol.

— Temu nikt nie zaprzeczy, jednak kasyno służyć będzie dla naszej przyjemności jedynie — przerwał opowiadającemu jeden z uczniów.

— Owóż mylisz się, pan starosta zakładając dla nas kasyno, nie tylko naszą zabawę miał na myśli; jakkolwiek pamięta on zawsze o naszej rozrywce. Zabawa i wprawa w tańcu były na dalszym planie przy zakładaniu kasyna.

— Cóż było na pierwszym planie? — pytano niecierpliwie.

— Gdybyście mi nie przerywali, już byłbym wam powiedział, a tak...

— Już milczeć będziemy, jak ryby! tylko mów.

— Słuchajcież uważnie! — mówił

Karol. — Pan starosta pamięta o tem, że młodzież, wychodząca z Krzemieńca, będzie należała do światowej społeczności, w której czeka ich praca i rozrywka, w której ważną jest rzeczą grzeczne obchodzenie się z ludźmi. Tego nabędzie na zebraniach publicznych w kasynie, gdzie młodzież pod okiem władzy szkolnej, nauczycieli, rodziców i obywatelstwa, bawiąc się, będzie przywykała do więcej światowego znajdowania się w towarzystwie. Oto główny cel założyć się mającego kasyna.

— Rzecz wybornie pomyślana!

— Przyjemne z pożytecznem połączone!

— Brawo! brawissimo!

— Niech żyje nasz najlepszy ukochany pan starosta! — wołano zewsząd.

— A toż bawić się będziemy duszą całą — zawołał któryś.

— Pomału bratku! pomału! nie tak łatwo dostać się do raju!—wołał Karol.

— No! a toż dlaczego nie łatwo? — pytano.

— Zapomnieliście o przypowieści, mówiącej, że: łatwiej wielbłądowi przejść przez uszko od igły, niż bogaczowi dostać się do nieba.

— Cóż ta przypowieść ma wspól-

nego z kasynem, które dla nas zakłada nasz najlepszy pod słońcem pan starosta? Jeżeli kasyno jest rajem, to my nie bogacze, zatem dostaniemy się do niego z łatwością! — wołali uczniowie.

— Mówię wam, że nie z łatwością!

— Ależ dlaczego? — wołano niespokojnie.

— Bo chcąc bywać w kasynie, nie wolno przekroczyć ustaw, które są twardym orzechem do zgryzienia.

— Jakich ustaw? czy szkolnych? — pytano.

— Nowych ustaw, tyczących się wyłącznie kasyna — odpowiedział Karol.

— Jakież to ustawy? znasz je? więc powiedz, niech spojrzymy niebezpieczeństwu w oczy.

— Powiedz! powiedz! łatwo wam rozkazywać, mnie jednak nie łatwo wyrecytować wszystkie — bronił się Karol.

— Dlaczego nie łatwo? — pytano.

— Bo ich jest dużo! nie spisałby na wołowej skórze.

— Nie gadaj! przesadzasz! — wołano zewsząd. — Musiałeś jednak choć trochę zapamiętać.

— Nic a nic! — przekomarzał się Karol z kolegami.

— Ot, złośliwe żarty sobie z na*

stroisz! a to nie pięknie, bo nam wcale nie do żartów, otworzyłeś nam jakby bramy raju, i nagle zamknąłeś je nam przed nosem.

— Gdybyście byli mniej gadatliwi, już wiedzielibyście wszystko — rzekł powoli Karol.

— Jakim sposobem? skoro ustaw nie pamiętasz.

— Mam je spisane.

— Dlaczego nam tego nie powiedziałeś odrazu?

— A czy pozwolicie mi przyjść do słowa?

— No, czytaj! proszę cię, nie nadużywaj naszej cierpliwości.

— Zaraz, zaraz — mówił Karol, szukając po kieszeniach, wyjął wreszcie jakieś szpargały i jął je znów wolno przerzucać, wreszcie rozłożył papier jakiś, mówiąc: — Aha! już je mam, a niechże cię! to są notatki do chemii, a to znowu do literatury! No już teraz znalazłem, tylko uciszcie się i słuchajcie:

1) Każda zabawa w kasynie powinna być w sobotę, albo w wigilię jakiegoś święta, ażeby nie przeszkadzała przygotowaniu się na lekcye poniedziałkowe i poświąteczne.

2) Uczeń nie mający z całego tygodnia świadectwa pilności w naukach i dobrego prowadzenia, znajdować się na zabawie nie może.

Karol, przeczytawszy punkt drugi, chrząknął, chrząknięciem jak gdyby podkreślił przeczytane zdania. — No, jak wam się punkt drugi podoba? — pytał milczących teraz kolegów.

— Czytaj dalej! nie bądź gadułą — rzekł tonem zniecierpliwienia jeden z chłopców.

Karol czytał dalej:

3) Uczeń celujący w naukach, jeżeliby miał u prefekta jaką obyczajową notę, traci prawo bywania na zabawie.

Ozwało się znowu znaczące chrząknięcie Karola.

— Jeżeli cię gardło boli, to ja czytać będę — ozwał się któryś z kolegów.

— Ależ gardło mnie nie boli — zaprzeczył Karol — podkreślam jeno punkty wybitniejsze.

— Daj pokój żartom! Nie baw się w dowcipnisia! — wołano zewsząd.

Gdy się uciszyło, Karol czytał:

4) Tym tylko uczniom wolno bywać na zabawach, których fundusz po zaspokojeniu potrzeb innych, pozwoli kilka złotych obrócić na bilet wejścia.

5) Jeżeliby się okazało, że uczeń dług zaciągnął, aby mieć pieniądze na kupienie biletu, ten traci prawo wchodzenia na zabawy.

6) Na każdem kasynie z obowiązku znajdować się powinno dwóch nauczycieli i prefekt, ażeby mieć pilną baczność na zachowanie się uczniów.

7) Dla uniknięcia zbytku w ubraniu, uczniowie w mundurach bywać powinni.

— Nie potrzebnieś nas nastraszył — rzekł jeden uczeń, gdy Karol czytać przestał — ustawa nie przedstawia żadnych trudności dla uczniów.

— Brykać nie pozwala, leniuchować nie pozwala! — mówił z naciskiem Karol.

— Czyż na brykanie lub leniuchowanie zjeżdżamy się do Krzemieńca? — rzekł tonem urazy któryś ze starszych.

— Jednem słowem — ozwał się jeden z uczniów, będący śmielszej natury — od nas samych zależeć będzie wyłącznie, czy będziemy znajdowali się na wieczorku w kasynie.

— Oczywiście, że od nas! — zawtórowano. — Zatem będziemy, niezawodnie będziemy!—zawołali wszyscy.

— Każdemu przecie zabawa pach-

nie, a i przetarcie się między ludźmi, obycie towarzyskie wiele znaczy! to też każdy korzystać będzie ze sposobności, którą nam nasz drogi pan starosta nasuwa.

— Niech mu Bóg daje wszystko, co najlepsze — dorzucił Karol.

— Według mego zdania — ozwał się jeden z najstarszych uczniów — nie punkt drugi i trzeci, które Karol przy czytaniu złośliwie chrząknięciem podkreślił, sprawią trudność uczniom, lecz opłata wejścia, niedostępna dla ubogich uczniów, którzy właśnie najwięcej ogłady towarzyskiej potrzebują.

— Bądź spokojny — odrzekł Karol — pan starosta o nich nie zapomniał! Czyżby zapomnieć mógł? Jeżeli dla nich pozakładał bezpłatne konwikta, jeżeli je sam często zwiedza, w celu przekonania się, czy mają zdrowy wikt i dobre powietrze, jeżeli posyła im bezpłatnie lekarza, jeżeli dostarcza im zadarmo lekarstwa, czyż zapomniałby dla nich o rozrywce?

— Pan starosta nie darmo nas swemi dziećmi mianuje — mówił po chwili Karol — o każdym z nas jak o dziecku swojem pamięta, nie zapomniał także o biedakach, zakładając kasyno. Oto

każdy ubogi uczeń, jeżeli nie wykroczy przeciwko 2-mu i 3-ciemu punktowi, bilet wejścia na wieczorek kasynowy darmo otrzyma.

— Doskonale! cudownie wszystko pomyślane!

— Panowie! pałasze do rąk i rozpoczynać lekcyę.

— Raz! dwa! trzy! — zakomenderował nauczyciel fechtunku.

Brzęk pałaszy i silne cięcia rozległy się w sali i uczyniły dalszą rozmowę niemożliwą.

„Zaraz w pierwszym roku po zaprowadzeniu kasyna (1811 r.) odbyło się 16 balików w czasie od Bożego Narodzenia do końca karnawału. Na balikach bywali uczniowie (pokazało się, że nie przeszkadzały im one w naukach, owszem były zachętą w pilności), bywały panny z pensjonatów, bywali obywatele i obywatelki. Zgromadzona młodzież niewinnie się bawiła pod okiem gospodyni, gospodarza i władzy szkolnej. Te 16 balów kosztowało 35 złotych. Zaludnione bale dały naukę obyczajności, łączyły powagę sędziwych z wesołością młodych. Z wielką moją pociechą żadna nie okazała się na nich nieprzyzwoitość."

W tych słowach pisał o balikach kasynowych Tadeusz Czacki, które dla młodzieży łączyły istotnie przyjemność z pożytkiem.

Dziwi was może, że owe baliki były tak ludne, wszakże Krzemieniec to mała mieścina. Tak, ale mała mieścina od czasu założenia tu szkoły, powiększała się z każdym rokiem. Za dziećmi ciągnęli do Krzemieńca rodzice, zwłaszcza na zimę, najmowali lub budowali dla siebie domki lub dwory. Było zatem komu zaludniać baliki.

— Ten nasz starosta, to cudów dokazuje! — mówiono sobie — nauczył dzieci nasze wiele, wiele dobrego! a nas starych oduczył wiele złego! Ot np. nie trwonimy pieniędzy na wyjazdy za granicę, lecz wydajemy je tu w Krzemieńcu, miasteczko w oczach rośnie i bogaci się.

VI. Troski i przejścia założyciela szkoły.

W roku szkolnym 1811 na 1812 młodzież wybrała prezesem „Sądów uczniów“ syna pana starosty, Józefa, ucznia trzeciego kursu. Ojciec wyboru syna nie zatwierdził i zarządził powtórne wybory. Przy powtórnem głosowaniu wybrano znowu jednomyślnie Józefa Czackiego; kochanego i szanowanego przez kolegów. Chciał pan starosta znowu zaprotestować, ale na prośbę prefekta i członków komisyi edukacyjnej, przestał się sprzeciwiać, a stanąwszy na stole prosił o głos. Zrobiła się w sali taka cisza, jak gdyby tu nikogo nie było. Wtedy Tadeusz Czacki rzekł:

— Jedność myśli i uczuć waszych przekonywa mnie, że mój Józef i uważanie wasze i życzliwość zjednać sobie potrafił. Pochlebia to mojemu ojcowskiemu sercu i jeszcze mnie więcej do

was przywiązuje. Kocham was jako braci waszego prezesa, jako własne dzieci moje i tych uczuć moich dowodzić wam póki życia mego nie przestanę. Przyjmijcie najczulsze dzięki moje, aby Bóg mi tyle dał szczęścia, żebym i syna mojego i was z nim oglądać mógł zupełnymi obywatelami, takimi, jakimi w marzeniach moich ojcowskich widzieć was pragnę. Synu mój! koledzy twoi, twoi bracia, w ręce twoje szalę sprawiedliwości złożyli. Ten dowód ich szacunku niech będzie dla ciebie szlachetną pobudką dalszego postępowania. Dowiedź szlachetnem sprawowaniem urzędu, żeś w uczuciach dla nich syn mój nieodrodny!

Gdy skończył, starsi uczniowie obstąpiwszy stół, zejść mu na ziemię nie pozwolili i wziąwszy na ramiona drogi im i ukochany ciężar, w towarzystwie całego grona do domu zanieśli.

Z wielką uroczystością obchodzono w Krzemieńcu Boże Ciało. Uroczystość tę tak opisuje Detiuk w swoich Ramotach. (Detiuk, to ów Antoś, którego dzieje poznaliśmy w poprzednich rozdziałach.)

W oktawę Bożego Ciała roku 1812 liczne duchowieństwo z Krzemienie-

ckich klasztorów, zaproszone do gimnazyalnego kościoła, uroczystej celebrze nieszporów księdza Osińskiego asystowało. O godzinie pół do piątej dzwony wzywały lud pobożny do świątyni. Najpiękniejsza majowa pogoda, cisza powietrza, promienie skłaniającego się do zachodu słońca, oświecając przeciwległe góry, cienie wyniosłych wież kościoła, rozciągnione przez galeryę na rynek. uroczo ozdabiały Krzemieniec i jeszcze więcej wspaniałości obrzędowi dodawały.

Gromady osób rozmaitego stanu i wieku napełniały galeryę, a wtem zarówno książęta i hrabiowie, jak rzemieślnicy i wyrobnicy w jednym duchu, do jednego celu, do Boga duszę wznosili. Już ławki zajęte przez mieszkające w Krzemieńcu obywatelki, po za filarami mieści się lud, środek tylko kościoła nie zajęty.

Naraz ozwał się dzwonek szkolny, sypnęły się porządkiem klas roje dzieciaków, każda pod swoją chorągwią, każda pod przywództwem nauczyciela w mundurze, uczniowie kursów pod własnem przywództwem idą, oddzielnie postępuje kilku, to członkowie sądu razem z prezesem.

Gdy uczniowie ustawili się na środku kościoła, dał się słyszeć szmer od drzwi wchodowych, wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę. Przodem szedł Tadeusz Czacki w całej paradzie, po obu jego stronach dyrektor i prefekt, za nimi profesorowie parami i urzędnicy gimnazyalni wszyscy w mundurach. Gdy już wszyscy swe miejsca zajęli, zabrzmiały organy, rozpoczęło się nabożeństwo. Ksiądz Prokop, kaznodzieja gimnazyalny, piękną mową rozrzewnił i do pobożności pobudził słuchaczy.

Nastąpiła procesya, ruszyły klasy i kursa swoim porządkiem, za nimi pensyonaty panieńskie, szli dalej księża franciszkanie i bazylianie, potem ośmiu uczniów niosło wianeczki, trzynastu w białych komżach z krzyżem, kadzielnicami, świecami i dzwonkami, za nimi czterech kapłanów w ornatach dla śpiewania ewangielii. Ksiądz Osiński na stopniach ołtarza, obróciwszy się do ludu zaśpiewał: *Twoja cześć, chwała!* Jęknęły dzwony, kilka tysięcy głosów zgodnych powtórzyło: Twoja cześć, chwała! bo te wszystkie głosy w tej chwili jedno uczucie ożywiało. Zeszedł ze stopnia celebrant, Michał Sobański i Wa-

cław Borejko wiedli go pod rękę. Czacki z innymi niósł baldachim, długi szereg obywatelek i mieszkańców miasta szedł za nimi, śpiewając pieśń przez celebranta zaintonowaną. Jeszcze wtenczas możni i lud jednym się duchem modlili, a jakim kto mógł głosem śpiewał Panu chwałę, nie tak jak dziś, że się wstydzą śpiewać na procesyi, sam jeden organista drze biedne gardło za wszystkich.

Po uroczystości poważnej, nazajutrz, gdy młodzież spała jeszcze w najlepsze, Czacki o brzasku dnia pracował już w swoim pokoju, naraz ozwał się dzwonek pocztowy, nikt go w domu nie słyszał, bo wszyscy jeszcze spali, nim pan starosta zdołał przekonać się kto przyjechał, już do drzwi jego zastukano, poczem wszedł do pokoju oficer rosyjski i powiedział, kłaniając się z uszanowaniem gospodarzowi:

— Jestem z Łucka, książe Bagration, głównodowodzący włożył na mnie obowiązek, abym panu staroście asystował do Łucka, musimy odjechać natychmiast.

— Spełnię bezzwłocznie rozkaz głównodowodzącego — odrzekł Czacki, kazał do siebie przywołać syna Józefa,

oznajmił mu o swoim natychmiastowym odjeździe, upominał, aby matkę o tem ostrożnie zawiadomił, a widząc, że syn blednie i drży, rzekł: — męztwa chłopcze! patrz jam spokojny.

Gdy syn w milczeniu rękę ojcowską całował, pan starosta przytulił głowę syna do piersi i w czoło go pocałował, poczem rzekł do oficera:

— Gotów jestem, bywajcie zdrowi! — przemówił do zalęknionej służby — wrócę niebawem.

Ozwały się znowu dzwonki pocztowe, konie ruszyły i uniosły pana starostę.

Po odjeździe ojca, Józef Czacki stał jak skamieniały, wiedział on dobrze, że nie jednego obywatela polskiej ziemi w ten sposób wywieziono i że ten więcej nie wrócił. To też drżał o ojca; chwilami budziła się w młodzieńcu chęć, aby biedz za powozem, za koła chwycić i odjeżdżającego ukryć przed grożącem mu niebezpieczeństwem.

Rozwaga jednak kazała pozostać, przypomniał sobie, że mu ojciec zalecił, aby spokojnie i ostrożnie zawiadomił matkę, aby nie wspominał w szkole o nagłym wyjeździe ojca. Starał się zatem uspokoić, lecz nadaremnie! Do-

znawał takiego uczucia, jak gdyby mu ktoś szarpał serce w kawały.

Pomimo wewnętrznego niepokoju, spokojnie powiedział matce, co zaszło. Chociaż mówił o odjeździe ojca, jakby o rzeczy zwyczajnej, pani Czacka wiedziała co taki odjazd znaczy. Jęk bolesny wydarł się z jej piersi, wybuchła głośnym płaczem, przerażone rozpaczą matki młodsze dzieci tuliły się do niej i rzewnie płakały. Józefowi łzy cisnęły się do oczu, ale przypomniały mu się słowa ojcowskie: Bądź mężnym! przypomniał mu się ten ojciec ukochany, odjeżdżający ze spokojem prawdziwym, czy udanym i to dodawało mu siły, opanował swoje wzruszenie i uspokajał matkę.

Wkrótce w domu Tadeusza Czackiego zjawili się ich serdeczni przyjaciele i zajęli się rozpaczającą kobietą, wtedy Józef, wyszedłszy od matki, wybuchnął głośnym płaczem.

Wieść o wyjeździe Czackiego obiegła w jednej chwili miasto całe, ona to pobudziła rano uczniów szkoły Krzemienieckiej, pozrywali się prędzej niż zwykle, poczem zebrali się tłumnie na galeryi, nim jeszcze zadzwoniono na

mszę. Dziś na galeryi nie słychać jednak było wesołego gwaru, smutek i niepokój pozamykał wesołym zazwyczaj dzieciom usta. Jeżeli które przemówiło, to jedynie pocichu.

Zadzwoniono! Na nabożeństwie nie brakowało ani jednego ucznia. Kapłan ze łzami w oczach mszę odprawiał na intencyę starosty, a dziatwa modliła się rzewnie i gorąco. Po nabożeństwie uczniowie w milczeniu zajęli miejsca w klasach, ukazali się niebawem za katedrą profesorowie, lecz ani młodzi uważać, ani starsi uczyć nie potrafili.

Obawa o pana starostę zajmowała wyłącznie umysły wszystkich. Uczniowie z kursów nie weszli nawet do sal szkolnych, snuli się po galeryi i rozmawiali półgłosem. Prefekt i dyrektor nie nawoływali uczniów do porządku, rozumieli, podzielali i szanowali ich uczucia. Wszyscy w szkole byli przygnębieni i przerażeni.

Po obiedzie nie zadzwoniono nawet do szkoły, bo młodzież myśli do książek przywiązać nie mogła, gromadą całą sypała się na drogę, wiodącą do Łucka, aby oczekiwać powrotu drogiego opiekuna. Wzrok chłopców biegł w dal! daremnie jednak, daremnie.

Nagły wyjazd pana starosty nie tylko dom jego rodziny i szkołę pogrążył w ciężką boleść, lecz miasto całe. Płakano tu i narzekano głośno. „Niema śród nas naszego ojca, naszego opiekuna! Przyjdzie nam zmarnieć bez niego“.

W miasteczku mieszkała ludność nie tylko katolicka, lecz i żydowska, ta także jęczała żałośnie. Otworzyli bużnicę i słali do Boga modły za tego, który także dla żydowskich dzieci otworzył przybytek nauki.

Podczas, gdy w Krzemieńcu modlą się i rozpaczają za pa em starostą, on, dojechawszy do Łucka, stanął przed księciem Bagrationem.

Książę powitał Czackiego przeprosinami za nieprzyjemność, jaką mu tak nagłe wezwanie zrobić mogło.

— Ale żyjemy w trudnych czasach, — mówił książę — Francuzi przekroczyli Niemen. Najjaśniejszy Pan ogłosił Wołyń na stopie wojennej, mnie oddał władzę. Otóż z mego nowego obowiązku, zapytać muszę pana starostę, co znaczyły wczorajsze uroczystości w Krzemieńcu?

— Były to uroczystości kościelne, musiały się one odbywać i w Łucku— odrzekł Czacki.

Książę chwilkę milczał, poczem zwracając się do pana starosty, rzekł:

— Gubernator Wołynia, Komburlej, zrobił mi uwagę, że w gimnazyum Krzemienieckiem jest wiele młodzieży zdatnej do służby wojskowej. W czasie wojny potrzeba nam ludzi. — Przy tych słowach podał Czackiemu spis uczniów zrobiony przez Komburleja.

Spis obejmował 380 nazwisk najlepszych uczniów kursów, a na ich czele było nazwisko Józefa Czackiego.

Pan starosta, czytając ową listę, pobladł, łzy zakręciły się w oczach dostojnego męża, pokonał jednak wkrótce wzruszenie i rzekł:

— Mości książę! spis uczniów zrobiony przez Komburleja, przekonywa mnie o jego nieuzasadnionej ku mnie złośliwości. Monarcha mojej gorliwej troskliwości zarząd szkół tej prowincyj i gimnazyum wołyńskie powierzyć raczył. Zdawałem już sprawę Jego Cesarskiej Mości z mojego urzędowania i nie zlęknę się zdać raz jeszcze. Rodzice mnie samemu poruczyli los swoich dzieci, odpowiedzialność za nie przysiągłem Bogu, rodzicom i memu sumieniu. Mamże tak haniebnie zdradzać zaufanie moich współobywateli? O nie!

Monarcha tego po mnie wymagać nie będzie. Uczniów Krzemienieckiego gimnazyum w ręce tylko rodziców oddać powinienem i oddam! — rzekł z mocą. Żadna władza do innego postępowania zmusić mnie nie zdoła. Jesteś książę ojcem i serca swego zapytaj, czy mogę postąpić inaczej?

Bagration słuchał słów Czackiego do głębi wzruszony, na jego obliczu widniało kolejno: zdziwienie, cześć i współczucie dla człowieka, stającego w obronie zagrożonej młodzieży. Ten zacny obywatel, broniący odważnie polską młodzież wobec rosyjskiego urzędnika, wydał mu się większym bohaterem od tych, którzy idą w ogień bojowy.

— Czy to jest ostatnie i nieodmienne postanowienie pana starosty? — zapytał po chwili milczenia.

— Nieodmienne! — brzmiała krótka odpowiedź.

— Mości starosto! — zawołał książę — wiele słyszałem o panu i wysoko ceniłem jego gorliwą działalność w sprawie oświaty, ale to co dziś widzę i słyszę, pojęcie moje przechodzi! Mężu czcigodny! dusza twoja wielka! zjednała ci cześć należną nietylko twoich ziomków,

ale i obcych. Zaszczyt twemu krajowi przynosisz. Kto tak śmiało i poczciwie broni sprawy przed urzędnikiem, w którego rękach los jego spoczywa, jest mężny i cnotliwy. Ja, twój różnowierzec i różnoplemiennik nie będę godny twojego szacunku i zaufania. Bądź moim przyjacielem, będę to uważał dla siebie za zaszczyt i z mojej strony przyjaźń dla ciebie do zgonu zachowam. Powracaj do Krzemieńca, ale trzeba egzamin przyśpieszyć i dzieci do rodziców rozpuścić, nim ja z Łucka wyjadę. Bóg wie co później nastąpić może! gdy władza wyłączna będzie w rękach niechętnego ci, panie starosto, Komburleja. Najlepiej byłoby na czas jakiś z gubernii wołyńskiej wyjechać. Żegnam cię, mości starosto, wspomnij niekiedy wysoko cię szanującego Bagrationa.

Po tych słowach uścisnęli się obaj mężowie, poczem Czacki do Krzemieńca powrócił o godzinie dziewiątej wieczór.

Wieść radosna obiegła w jednej chwili miasteczko:

Powrócił! powrócił! powrócił! powtarzały wszystkie usta i zanosiły dziękczynną modlitwę do Boga za ów szczęśliwy powrót.

VII. Śmierć Czackiego.

Nazajutrz, gdy na głos dzwonka młodzież zgromadziła się w gimnazyalnym kościele, oczy wszystkich zwróciły się w stronę, gdzie zwykle siadywał pan starosta. Jakkolwiek wszyscy wiedzieli, że powrócił, wszyscy jednak pragnęli odzyskanego własnemi oczami oglądać. Oglądano go zatem radosnemi spojrzeniami, radość tę dostrzegł pan starosta i miłą mu była. Jednak wkrótce twarz zacnego człowieka posmutniała.

Powodem smutku była troska o przyszłość drogiej sercu młodzieży. Potrafił ją osłonić wczoraj przed niechęcią, lecz czy potrafi zasłonić ją od niebezpieczeństwa w przyszłości? Mąż szlachetny musiał odpowiedzieć sobie przecząco. Gdyby nie szlachetność Bagrationa, odwaga jego nie zdałaby się na

nic. Rozumiał dobrze, że gdyby trafił na człowieka niechętnego Polakom, a z takich składała się większość urzędników, ten byłby młodzież, spisaną przez gubernatora, powołał wprost do służby wojskowej, a jego za odważne wystąpienie, byłby kazał jako buntownika zakuć w kajdany, byłby go gnębił więzieniem lub Sybirem. Czuł pan starosta, że co nie stało się wczoraj, może stać się jutro i dlatego to posmutniała od ciężkich myśli twarz pana starosty.

Tymczasem młodzież, nie znająca trapiących myśli pana starosty, po nabożeństwie rozsypała się wesoło po klasach i uczyła się dziś ze zdwojoną pilnością, jakby wynagrodzić chciała czas wczoraj stracony.

Pan starosta zastosował się ściśle do rady księcia Bagrationa i egzamina przyśpieszył, naznaczono je na dzień 12-go czerwca. Egzamina i zakończenie roku szkolnego odbyło się ze zwykłą poważną uroczystością, przy licznym współudziale rodziców uczącej się w Krzemieńcu młodzieży. W dniu rozdawania medali i listów pochwalnych, spotkała pana starostę prawdziwa radość. Syn jego najstarszy, Józef, otrzymał złoty medal. Gdy nazwisko pilne-